

ROZDZIAŁ II

RZECZNA PUSZCZA

Na placu oraz w pozostałej części Helgen panował taki harmider, że postronny obserwator nie byłby w stanie odróżnić w tłumie biegających wszędzie postaci żołnierzy Legionu Cesarskiego od bojowników Ulfrika Gromowładnego, chociaż nosili oni różne umundurowania. Konie rżały, ludzie gonili co sił w nogach, starając się ukryć przed gradem kamieni z kruszonych budowli, obracanych przez smoka w sterty gruzu. Uderzył lancetowatym ogonem w czyją stodołę – gumno rozbijało się w drobny mak; rzygnął ogniem z upiornej paszczy – zboże stawało w płomieniach i owoc pracy ludzkiej obracał się wniwecz; zatrzepotał monstrualnym ramieniem – pokotem kładła się krucha sadyba, grzebiąc w ruinach domowników: mężczyzn, kobiety, dzieci, starców. Za chwilę znowu zmij poderwał się i przeleciawszy po nieboskłonie, osiadł na murach miejskich, by zaryzczyć w obcym języku, rozbrzmiewającym złowróźnie:

– *Zu'u los rigir, joriin do Lein! Dir ko dii yolos!*

Następnie wygiął do tyłu długą szyję i z impetem huknął przed siebie jakąś pradawną magią, przewalając część fortecy, jakby ta była jeno domkiem z kart, a nie murowaną warownią wzniesioną przed dumne Cesarstwo – chwiejące się w posadach w zetknięciu z nieznanym.

Poturbowany ork poczuł pośród kakofonii jęków i beku rannych, że ktoś ciągnie go za gałgany w kierunku wieżycy. Przed niewielkimi schodkami odzyskał siły na tyle, by na czworakach wdrapać się z mozołem do wnętrza budowli, a później przysiąść w kącie, bojąc się o wytrzymałość niepewnego stropu.

– Żyjesz? To dobrze – odezwał się Ralof, raźnie stojąc na nogach. – Wasza Miłość, to już chyba wszyscy.

– Ilu naszych poległo? – zapytał Ulfrik, któremu zdjęto knebel, a podtrzymując zbroczoną krwią kończynę, wyglądał przez otwór na dziedziniec, badając sytuację poza schronieniem.

– Esbjörn i Roald odeszli na wieczną wartę. Widziałem ich ciała – odrzekł gromowładny.
– Gunjar zaginał. Nie mam pojęcia, gdzie się podział, podobnie jak ten grasant. Jak on się nazywał? Lorik czy Lokir...?

– Musimy się stąd wydostać – zdecydował okaleczony jarl. – Nie wiem, czy bramy zostały otwarte, ale wołałbym tego nie sprawdzać. Jeśli mnie pamięć nie myli, pod twierdzą jest sekretne przejście prowadzące do północnego traktu.

– Fatalny pomysł – przemówił inny żołnierz w barwach wojennych okrywających lewą część twarzy. – Wodzu, nie zrozum tego źle, ale w fortecy ukryło się wielu legionistów, którzy już mieli skrócić mnie o głowę! W jaki sposób nas przywitają, gdy tak po prostu przekroczymy próg? – pytał przejęty, a jego sumiaste wąsy drgały, gdy rumor pękających ścian obiegał wieżę.

– Tutaj też nie możemy długo zabawić – stwierdził stanowczo Ralof. – Tête-à-tête z piękną inaczej kapitan nie przypada mi do gustu, ale lepsze to niż starcie z gadem. Mortenie Nieulętkły, zerknij na plac i daj znać, kiedy mam uchylić drzwi. Wtedy pognamy wszyscy do zamku, osłaniając Jego Miłość – zarządził. – Na drodze leży trochę trupów. Kto może, niech podejmie w biegu broń, abyśmy nie byli dłużej bezradni. Talosie, prowadź nas! – Spojrzenie skierował ku niebu.

Jeden z gromowładnych pomógł jeszcze orkowi rozwiązać ręce i już po chwili pędzili przez teren, na którym niedawno mieli dokonać żywota. Orsimer uchwycił kątem oka przegrupowanych legionistów i magów bitewnych w oddali, strzelających w kierunku bestii wiszącej w powietrzu. Wiele grotów dosięgło potwora, jednak on wydawał się niewzruszony, jakby był odlany ze spizu. Zwracając się w stronę żołnierzy, zanurkował gwałtownie ku łucznikowi, capnął go rogowymi pazurami, po czym podniósł z ziemi i rzucił nieszczęśnika z dużej wysokości, zabijając go. Nie czekając na chwilę, aż smok obróci się przeciwko gromowładnym, ork gonił tak szybko jak to możliwe, i jako pierwszy wpadł do twierdzy. Zaraz dołączyli do niego pozostali, zatrzasnęli drzwi za sobą i zasapani rozglądali się po pomieszczeniu, na którego ścianach rósł wiszący mech, wypchane głowy zwierząt prezentowały okazałe poroża, proporce Cesarskiego Legionu kołysały się targane przeciągiem i tylko zwłoki wojownika przy lichtarzu mąciły pewien urok tego miejsca. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie widać było żywego ducha.

– Tutaj przytałeś się, Gunjarze – wydyszał markotnie Ralof w kierunku ciała żołnierza. – Hm, ale cóż to? Jego okaleczenia nie pochodzą od spadających cegieł albo razów gadziny – stwierdził, oglądając z bliska truchło towarzysza broni.

– Zadano je cesarskim mieczem! – zawyrokował Morten Nieulętkły.

– Panowie, innym razem rozpoznamy sprawę – uciał dyskusję królobójca Ulfrik. – Opuśćmy to miasto, zanim smok strąci nam warownię na głowy. Obiecuję, że gdy dotrzemy do Wichrowego Tronu, wszczniemy taką krucjatę przeciwko bezbożnym cesarskim plugawcom, że Tullius będzie nas nawet na dnie Otchłani wspominał.

– I to mi się podoba! – zakrzyknął jasnowłosy dowcipniś. – Wszyscy uzbrojeni? – skierował pytanie do grupy.

Golzagor zatrzymał wzrok na postrzępionych łąkach, które ciągle nosił, i uzmysłowił sobie, że na śmierć zapomniał, ażeby w trakcie galopady przed fortecą złapać choćby nędzny tulich. W owym czasie tak był zaaferowany widokiem straszliwej maskary, że miał wzgląd tylko na to, by w dyrdy ustąpić z pola. Nieśmiało przyznał się do roztargnienia:

– Ja nie mam oręża.

– Rzeczywiście. – Ralof objął go spojrzeniem. – Gołyś jak piskorz. Żwawo bierz co od Gunjara. No, śmiało – ponaglał go. – Jemu rynsztunek nie zda się już na nic.

Ork pochylił się z ostrożną nad nieboszczykiem i wziął jego porządny puginał z miedzianym jelcem ukraszonym motywem niedźwiedziej głowy w profilu. Poznał z punktu ten znak, jako że identyczny ozdobił odzienie jarla, który krwawił z przedramienia bezustannie, a mimo to nie troszczył się o takie faramuszki. Orsimer kierował się szacunkiem dla zmarłego, więc chciał na tym poprzestać, ale gromowładni wyrazili zgodę, aby zabrał wszystko: skórzaną zbroję, pikowaną w romboidalny deseń; krótką kolczugę bez rękawów; ocieplane rękawice i buty; rzemienny hełm oraz drewniany puklerz z umbem, za którym z trudem mieściła się jego wielka ręka. Pozostawił jedynie amulet oraz tunikę w rebelianckich barwach, służącą teraz denatowi jako całun.

Założenie pancerza chwilę trwało, tym bardziej że Golzagor był barczysty, dlatego grupa oddaliła się, by nie tracić czasu i odszukać drogę ucieczki. Ork, pełen wdzięczności za to, że traktują go jak brata, miał dołączyć do nich później. Spieszył się przy tym niemożliwie, bowiem co rusz do jego uszu dochodziły zza zaryglowanych wrót odgłosy wybuchów i bitwy ze smokiem. Wkrótce, przywdziawszy nowy strój, ruszył wąskim korytarzem, wypatrując gromowładnych. Dotarłszy do schodów prowadzących na wyższe oraz niższe piętro, zatrzymał się, ale gdy tylko usłyszał podźwięk zderzających się mieczy, dobiegający z dołu, postanowił skierować swoje kroki ku podpiwniczeniom.

Przezornie wytknął łeb spoza antała pachnącego winem, by ujrzeć potyczkę. Z jednej strony fechtowali Ralof i Morten, biorąc Ulfrika w obronę; z drugiej zaś legioniści w przewadze liczebnej

przeprowadzali ofensywę z oczywistym zamiarem pozbawienia ich życia. Nie myśląc wiele, Orsimer ruszył na ratunek. Dobiegł do jakiegoś żołnierza od tyłu i z całej siły wbił ostrze w jego kark, nieomal odcinając mu głowę. Dostrzegł to inny wojownik, podnosząc na orka mosiężną buławę. Jego obuch był jednak na tyle ciężki, że zanim zdążył rozprostować ramię, Golzagar osłonił się tarczą, która sparowała cios, wytrącając napastnika z równowagi. Wykorzystując ten moment, ork rzezał niemiłosiernie wroga po twarzy. Szyszak legionisty posiadał stalowy nakarczek chroniący szyję, uniemożliwiający przez to dekapitację, jednakże nic nie okrywało paskudnego pyska biedaka. Po chwili, jak skonstatował zwycięzca pojedynku, jego pocięte pyszczydło stało się jeszcze szkaradniejsze.

Gromowładni tymczasem uporali się z wysokim wojskowym w randze kwestora, tak więc na placu boju pozostała już tylko jedna osoba z Cesarskiego Legionu. Usatysfakcjonowany z dotychczasowego przebiegu bitki Orsimer postanowił przypuścić atak na ostatniego przeciwnika, by grupa czym prędzej mogła udać się dalej, ku upragnionej wolności. Ralof kiwnął jednak ręką, aby ten wstrzymał natarcie.

– Poczekajcie! – zawołał nieogolony blondyn. – To moja walka! Macie się nie wtrącać, chyba że tchórzliwa krasnolica podejmie próbę ucieczki, rozumiecie?

Golzagar przypatrzył się badawczo legionistce. W mrocznej piwnicy nie od razu odnotował, że to ta sama persona, która prowadziła kawalkadę, powrzaskiwała na podwładnych i wydała go na śmierć, choć nie figurował na liście skazanych. Bez tandetnej kity, porównanej nie bez przyczyny do legowiska ptaków, pani kapitan sądziła najwyraźniej, że niepostrzeżona wysłiznie się z Helgen, porzucając wojaków i miejscowych, ginących w boju z bestią. Okazało się, że była nie tylko podłą żmiją o złym guście, lecz także zajęczą skórką, która dezertuje przy lada okazji. W innych okolicznościach ork uznałby zapewne, że należy ją zostawić albo szast-prast posłać do piachu i samemu się salwować, jednakże tym razem był z Ralofem jednej myśli, dlatego potakująco kiwnął głową, oparł się o ścianę i postanowił przyglądać się potyczce, kibicując, rzecz jasna, Nordowi w niebieskim okryciu.

– Ralofie, załatw szybko porachunki – polecił Ulfrik.

– Gnidy z Wichrowego Tronu! – zaryczała kapitan, trzymając oponenta na długość obosiecznego miecza. – Myślicie, że uniknęliście kary?! Cesarstwo wkroczy kiedyś do Wschodniej Marchii i wytrzebi powstańców, szubrawcy! – groziła.

– Jak śmiesz zwracać się do mojego jarla?! – wrzasnął jasnowłosy i kropnął w jej broń własnym orężem, aż stal zadzwoniła w zimnej izbie, dając znak, że czas przejść od słów do czynów.

Nasamprzód szermierze zatopili w sobie pałające nienawiścią spojrzenia i stąpając nieśpiesznie po okręgu, każdy w inną stronę, przybliżali się do siebie, by zaraz znów w tył uskoczyć. Nord przyjął postawę bojową, ugiął nogi w kolanach, żeby w razie uderzenia zwinnie stłumić siłę razu oraz bezzwłocznie skontrować. Wyglądał na pewnego siebie, jednak doświadczenie w bojach niewątpliwie podpowiadało mu, by zawsze, w obliczu najbardziej niepozornego wroga, a nie tylko od wielkiego dzwonu, mieć się na baczni. Owa biegłość w fechtowaniu się dała o sobie znać we właściwym momencie, aczkolwiek było to wciąż za mało, ażeby utwierdzić go w dufnym przekonaniu o własnej nieomyślności. Legionistka również wydawała się roztropna, bowiem nie znając umiejętności rywala, wyczekiwała pierwszego żgnięcia, odwołując własny atak, aby później zniecka natrzeć. Najwidoczniej liczyła na sprawienie niespodzianki przeciwnikowi, który mógłby popełnić błąd, zachwiać się – i w tym upatrywała szansy na zwycięstwo.

Wzajemne straszenia przeciągały się; w grobowej ciszy wykonywali na twardej, chłodnej posadzce kuriozalny taniec i żadne nie paliło się, by zrobić pierwszy krok. Wreszcie pełne napięcia wyczekiwanie przerwał Ralof. Machnął mieczem, który wnet zwoleń na kapitańskim ostrzu. Ta oddała cios, ale i on nie dosięgnął celu. Gromowładny, widząc, że nic nie wskóra w ten sposób, przyspieszył. Wyprowadził całą lawinę sztychów: prawa, lewa, frontalnie, ze zwodem, bez zwodu... Nawet nie drasnął rąbka kirysu. W odpowiedzi nadeszły cięcia. Jedno zręcznie sparował, drugie chybione, przed trzecim uchylił się, czwarte szczęknęło o jelec. Figa z makiem, z pasternakiem! Dalej remis.

Znów wejrzenia wojowników spotkały się, w wyniku czego nastąpiła nieplanowana chwila przerwy w walce. Śmieszek, tym razem gniewliwy nie na żarty, był zdania, że w oczach oponentki dojrzał płonący ogień pogardy, porównywalny do zabójczych tchnień smoka, którymi ten wytracał niewinnych. Przywołał w myślach obraz zgiełku na placu, wrzaski bezradnych konających oraz Gunjara – zabitego w sali w przyziemiach, chociaż nie mógł się obronić.

– Ty go zamordowałaś! Ty uśmierciłaś Gunjara, kokoto! – wykrzyknął.

Kapitan nie odezwała się natychmiast, tylko uśmiechnęła się półgębkiem i szydziła:

– Kogo...? Gówniara?

Po tej zdawkowej wymianie zdań szarżowali na siebie bez opamiętania. Dźgnięcie, pchnięcie; zgrzyt stali, chrobot żelaza. Iskry z wodzących się za czuby broni iluminowały beczki pełne spirytualiów, rozjaśniały przepierzenia w ciemnym składzie. Ten markował jaki zamysł, ta nie dała się zwieść. Tu pozorowała zamach, tam nadziała się na blok. I momentalnie zmiana tempa: wolno – szybko, bez

pośpiechu – lotem strzały, adagio – presto... A tu fortel! Znowuż łączo! Bez skutku. Finta? A gdzie tam. Obrót? Fiasko. Następnie, jak gdyby nic się nie stało, jakby nerwy mieli jak postronki i posiadali taką kondycję, że mogliby próbować swych sił do zmierzchu, na powrót ritardando, i kontynuują tany w takt przygrywającej cichusienko niewidzialnej orkiestry żałobnej, płasząc powściągliwie nad trumną werwy i swady.

Ork gapił się na to starcie gigantów jak sroka w gnat, stawiając w słup wielkie oczy. Nigdy nawet nie marzył o tak nieopisanej, o tak wybornej technice, która sprawiała, że pojedynk przypominał przedstawienie, balet, muzykę komponowaną przez genialnego twórcę. A przecież nie grali z partytury! Nie umówili się, do licha, odnośnie do kroków! Zamiast uzdolnionego flecisty koncertował facecjonista Ralof, prosty jak Adamantowa Wieża, zaś w miejscu wybitnej harfistki muzykowała szpetna pani oficer Cesarskiego Legionu! Mimo to, demonstrowali olśniewający kunszt, wirtuozerię władania białą bronią, a żadne z nich nie cofnęło się nawet na krok, żadne nie ustępowało pola. Orsimer ze smutkiem zaakceptował ponurą prawdę, że przygotowanie walczących, ich profesjonalizm i wprawa dalece prześcigały jego skromne możliwości, które nabył w Cesarskim Mieście. Jedyna strategia, jaką dotąd przyjmował, opierała się na fandze w nos z zaskoczenia lub instynkcie, czego dał wyraz w trakcie potyczki z trollem. Ach, ale trudno to nazywać walką! Ledwo szarpanina amatorów wagi piórkowej, porównawszy ją z obecną batalią asów, która zmierzała w nieokreślonym kierunku.

– Wystarczy tej rozgrzewki – rzekł bez wahania Ralof, wywołując zdumienie.

Golzagor poczytywał te słowa za przechwałki, jakkolwiek bojownik nie dał się dotąd poznać jako fanfaron. Pomyślał, że to bez kwestii kolejny blef Inianowłosego, ażeby sprowokować rywalkę. On jednak, na przekór rozważaniom orka, doskoczył do nieprzyjaciółki i krzepko rąbnął orężem. Tamta stosunkowo poprawnie odparła cios, zasłoniwszy się brzeszczotem prostopadle do kierunku uderzenia, jednakowoż błękitny rycerz, miast wycofać się jak zwykle, podejmując nową próbę, przystąpił do niej, szepił gardy i pchał co siłą skrzyżowane miecze. Wtenczas skierował niespodzianie trzpień ku podłodze, przez co obie złączone bronie sieczne nieomal musnęły piórami ziemię. Antagonistka nachyliła się, aby nie wypuścić rękojeści, natomiast żołnierz Ulfrika wykorzystał ten ułamek sekundy, popychając ją barkiem, aż zbroje brzęknęły wśród głuchej ciszy cesarskiego magazynu. Zachybotła się, ściskając końcami palców głowicę, toteż Nord dokończył dzieła – walnął ją w podbródek i tyle wystarczyło, by zwalić legionistkę z nóg.

– Nędznicy, miernoty, łajzy! – wymyślała wszystkim, leżąc bezsilnie.

Zwycięzca boju na śmierć i życie przystąpił do pokonanej kapitan, dzierżąc pewnie narzędzie walki, które tak dobrze wywiązało się z zadania. Ucałował miecz, dziękował bóstwom za triumf, by następnie, ku uldze zgromadzonych, uciszyć zwyciężoną na zawsze. Golzagor podbiegł do niego i gratulował tak bezprecedensowej zręczności, komplementując zwłaszcza niebywałą przezorność pogromcy w pierwszej fazie potyczki. Zapytał fechtmistrza o imię nauczyciela i bagaż doświadczeń w bitwach, jednak Ralof zareplikował aforystycznie:

– To żadna eksperiencja, orku. Odkąd wisiał nade mną katowski berdysz, bez ustanku wypatruję także nad sobą damoklesowego miecza. – Zatrzymał wzrok na swym przywódcy, który stał jak na rozżarzonych węglach, wyczekując finału setek pochlebstw i aplauzów. – Na marginesie – powiedział starym, dobrym, andrusowskim głosem – od pewnego czasu nie słyszymy wybuchów i grzmotów z podwórca. Jaszczur widocznie podwinął ogon i pierzchnął.

Niebawem uciekinierzy, szczęśliwi, że uszli z życiem, lecz poturbowani i zmęczeni utarczką – w pierwszym rzędzie z potworem, w drugim – z żołnierzami Tulliusa, odnaleźli ukryty właz prowadzący do dusznego i ciemnego, choć oko wykol, tunelu. Oświetlając pochodnią wykutą między opokami drogę, przeprawili się pod powierzchnią wilgotnej ziemi ku niewielkiej jaskini, wychodząc na półkę skalną, z której należało zeskoczyć, aby znaleźć się nieopodal wyjścia z grotu. To niepokazne utrudnienie na ich marszrucie, jak wywnioskowali, służyło temu, aby zapobiec przedostaniu się do Helgen przez korytarz, a jednocześnie umożliwić przeprawę osobom podróżującym w odwrotnym kierunku, czyli poza mury miejskie. W razie oblężenia zbiegowie mogliby z całą pewnością zabrać ze sobą drabinę, po której z gracją zstępowałby król, jarl albo inna wychodząca po angielsku znakomitość, jednakże Ulfrik, choć pokiereszowany, dał gładkiego susa i znalazł się trzy, cztery arszyzny niżej. Ralof błaznował, że protagonista walki z Cesarstwem hycnął psim śwędem niczym zdrowy jak byk szczawik, jakkolwiek z młodzą łączyła go jedynie noszona przezeń modna broda, a i ona stała się ostatnio niechlujna, jako że legioniści nie byli skorzy, by podgalać zarost winowajców – chyba że toporem.

W końcu rozweselone udatnym konceptem towarzystwo opuściło pieczarę i każdy zaczerpnął głęboko świeżego powietrza w płuca. Powzięto wnet decyzję, że wódz nie powinien afiszować się swym pobytem na wolności, skoro wydano na niego wyrok, a ledwo co uniknął kary. Morten podsunął radę,

aby ich dowódca przebrał się w zwyczajny strój, łagodząc swój jowiszowy wygląd, dzięki czemu przestanie przyciągać wzrok postronnych osób, wśród których może przepędzać cesarski szpicel – żądny nagrody autochton. Domówiono po treściwej wymianie poglądów, że najłatwiej będzie pospieszyć do Rzecznej Puszczy – pomniejszego sioła, w którym przyszedł na świat wisus Ralof. Ork przemyślał natomiast nad tym, czy zawrócić do Cyrodiil, skąd wyszedł wczoraj z karawaną.

– Nie żartuj sobie – nakłaniał go Morten do pozostania w Skyrim. – Bestia najpewniej wciąż żyje i wypatruje kolejnego grodu, by go zrównać z ziemią.

– Czy w takim razie nie powinniśmy omijać ich szerokim łukiem? – indagował Golzagor.
– Ponoć zmierzamy do jakiejś Rzecznej Puszczy.

– Nie „jakiejś” Rzecznej Puszczy, tylko tej konkretnej miejscowości, w której obecnie mieszka moja siostra z mężem – zachnął się jasnowłosy ancymonek. – To żaden gród. Ledwie miejscina z tartakiem i austerią, choć ma też kuźnię, a parę lat temu kupiec założył interes na parterze chałupy – tłumaczył, kopiąc z niechcenia kamyk, leżący przy dróżce wychodzącej z jaskini. – Nic szczególnego, ale przed wyprawą do Wichrowego Tronu wyekwipujemy się tam w prowiant, opatrzymy Jego Miłości rękę, ucharakteryzujemy na kloszarda... – Na twarzy trzpiota pojawił się uśmiech, gdy Ulfrik, słysząc tę arlekinadę, skierował na niego karcące spojrzenie. – Smok jest potężny, zgoda. W mieście jednak, nawet najskromniejszym, będziesz bezpieczniejszy niż w głuszy.

– Hm, sam nie wiem... – Orsimer utonął w myślach, ważąc dostępne możliwości. – Posłuchajcie – przemówił po chwili – jestem przeogromnie obowiązany za troskę i pomoc w walce, ale ta piękna kraina leży daleko od mego domu. Znalazłem się tu naprawdę dziwnym trafem, dlatego sędzę, że winien jestem wam wyrazy wdzięczności. Pozwólcie, Nordowie, że oddam zbroję i oddalę się do Brumy – powiedział taktownie, zerkając w stronę wysokich gór Jerall.

– Bruma w Prowincji Cesarskiej? – wtrącił się do rozmowy jarl, owinąwszy wokół swego przedramienia prowizoryczny opatrunek, złożony z niepomiernego liścia przewiązanego giętką łodygą błękitnego kwiatu. – Najbliższym przesmykiem jest Błada Przełęcz. Cesarscy zaarrestują cię, gdy dostrzegą obcego w rebelianckim pancerzu lub, co gorsze, karcerowej tkaninie. Oczywiście, inne rozwiązanie to włóczęga zdradliwą percią pomiędzy szreniami oraz załomami, czego nie polecam, jeśli życie ci miłe – nadmienił ze zgryźliwością w głosie. – Dokąd zdążasz? – spytał. – Do dzieci?

– Nie – mruknął ork.

– Do żony?

– Też nie – odrzekł skonfundowany, orientując się, że sam dobrze nie wie, gdzie chce powrócić.

Pochodził ze stolicy Cyrodiil, jednak od śmierci rodziców był biedny jak mysz kościelna, zaś na północy prowincji znalazł się w poszukiwaniu prostej pracy, takiej jak rąbanie drewna na opał, nad wyraz potrzebnego w chłodniejszym klimacie, albo... Aby zatrudnić się jako tragarz. Pomyślał, że to ostatnie zajęcie bezsprzecznie nie wyszło mu na dobre.

– Dlaczego zatem pragniesz się od nas oddzielić? – ciągnął Ulfrik, zauważając, że Orsimer dogłębnie zastanawia się nad jego propozycją. – Zgadza się, aura w Skyrim bywa surowa, a przejmujące powietrze na północy potrafi odmrozić palce u stóp, jednakże ludzie są gościnni, zaś w gospodach ogrzeją cię ciepłe paleniska.

– Słusznie, Wasza Miłość – dodał Ralof, zbliżając się do Golzagora. – Nieczęsto ktoś ma to szczęście, by usłyszeć podobne słowa z ust samego prawowitego Króla Skyrim. Widziałem, jak władasz mieczem – stwierdził, kładąc dłoń na ramieniu orka. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć, ale zauważyłem w tobie potencjał. Dostrzegłem go w twych źrenicach, gdy siekłeś legionistów w tym słabo oświetlonym składzie. Pasja, umiłowanie, afekt, żądza krwi! Wierz mi, potrzebujemy tak dzielnych wojów – oznajmił, a pozostali przytakiwali na jego słowa.

– Co masz na myśli, mówiąc, że mnie potrzebujecie? – dziwił się ork.

– Golzagorze – ponownie zabrał głos jarl – pójdz z nami do Wichrowego Tronu, do kolebki rebelii z Cesarstwem, które niewinnych skazuje na śmierć, a skazanym nie pozwala się bronić! Wszystko to, czego doświadczyłeś w Helgen i w trakcie podróży na wozie, jest li tylko wierzchołkiem herezji i bezprawia! Wierz mi! Cesarz, gnijąc w swym pałacu w stolicy, nie wie nawet, co też dzieje się poza jego włościami!

Ulfrik rozechocił się i kontynuował perorę, jednak trudno było odmówić mu racji. Odkąd wszakże Orsimer przestąpił rubieżę Skyrim, zaczęły się jego bolączki, których nie napotkał w Prowincji Cesarskiej. Mówca tymczasem kuł żelazo, póki gorące:

– Dołącz do gromowładnych, a pokażemy ci prawdziwe oblicze Cesarstwa. Pomiarkujesz wówczas, dlaczego te psy zwą mnie królobójcą, pomimo że odniosłem zwycięstwo w sprawiedliwym pojedynku i powinienem już de iure dawno zostać obwołany nowym władcą.

Orsimer nie wyraził eksplicytniej deklaracji, iż zamierza zaciągnąć się w szeregi gromowładnych, odkładając decyzję, jednakże przystał na to, aby skierować się wraz z pozostałymi do Rzeczej Puszczy. Jego kompani udzielili mu uprzejmej aprobaty, ażeby zatrzymał pancerz nieboszczyka Gunjara, choć

Golzagorowi gest ten wydawał się ekscentryczny, bowiem w innych regionach Tamriel noszenie rzeczy po zmarłych uchodziło za dyshonor lub przynajmniej nietakt, niezręczność, a z pewnością uważano, że przyciąga to nieszczęście. Ork nigdy nie zaliczał się do zabobonników, toteż w Helgen, ratując życie własne oraz towarzyszków, nie sprzeciwiał się zbytnio pomysłowi, aby przywdziać zbroję w tych niepowszednich okolicznościach, aliści teraz, gdy czarne chmury rozwiały się znad ich głów, skwapliwie pozbyłby się krępującego rynsztunku. Zdecydował, że uda się do kowala w wiosce, którego nadmienił Ralof, by zamienić osobliwą schedę po Gunjarze na inny kirys lub chociaż skromny ubiór, niemniej jednak wprzód należało tam zawędrować, co oznaczało, że na powrót czekała go przechadzka na łonie natury.

Szlak w kierunku Rzecznej Puszczy okazał się pomniejszą, lecz zadbaną, ubitą dróżką, obok której co pewien czas sterczał drogowskaz wskazujący różne strony świata. Większość tych nazw nic orkowi nie mówiła albo znał je jedynie ze słyszenia: Biała Grań, Ivarstead, Rorikstead, Falkret itd. Topografia Skyrim stanowiła dla niego tajemnicę, bowiem gościł tu pierwszy raz, a poza tym, za sprawą nieprzyjemnego nauczyciela z dzieciństwa, znacząco lepiej orientował się w historii tejże krainy aniżeli jej geografii. Znał na przykład od podszewki opowieść o tym, jak Ysgramor, antyczny bohater i zarazem archetyp wojownika, przybył w zamierzchłych czasach do Tamriel z kontynentu nazywanego Atmorą. Osiedlił się następnie wraz ze swymi towarzyszami, tzw. Pięćsetką – rzekomo od liczby druhów, właśnie w Skyrim, zakładając osady, które później rozwinęły się w znaczne miasta. Wyciągnąwszy z lamusa wspomnień dzieje regionu, ork zwrócił uwagę na fakt, że jedni z pierwszych osiedleńców w tych stronach przynieśli ze sobą własną kulturę oraz religię wyznawaną w Atmorze. Przypuszczalnie byłby to niewiele znaczący kazus, jednakże uświadomił sobie – o ile dobrze zachował tę nużącą naukę w pamięci – że praktykowali oni wiarę w smoczycach kapłanów, zaś ster rządów trzymały wówczas prawdziwe smoki. Oczywiście, wzięwszy pod uwagę to, że Ysgramor chodził po świecie całe tysiąclecia temu, trudno obecnie odróżnić realne przekazy historyczne od legend i mitów, zatem ta pobieżna wiedza Orsimera nie dowodziła wcale, by smoki drzewiej egzystowały w Skyrim. Skonstatował, że warto byłoby przeczytać książkę na ten temat, acz żaden starodruk ani fruwająca bestia – dzięki bogom! – nie znajdowały się w owym czasie w pobliżu.

Człapiąc za gronem paru gromowładnych, uzmysłowił sobie, że temperatura w tej podobnież mroźnej prowincji utrzymywała się, jak dotąd, na przyjemnym poziomie. Zimno odczuwał tylko wysoko w górach Jerall, natomiast ani podczas noclegu, zanim ujęli go żołnierze, ani w trakcie przykrej jazdy na furze, ani w Helgen, gdzie tu i ówdzie zalegały niepokazne kupki roztopiającego się śniegu, nie doznawał dyskomfortu z powodu złej aury. Zagabnął o to czołowego bisurmana w idącej naprzód grupie, na co ten zareagował rechotem, a gdy kaskady śmiechu go opuściły, Ralof ochoczo wyłuszczył, że jest to jeden z nagminnych stereotypów Cesarstwa na temat jego ojczyzny. Okazało się, że dotkliwy mróz panuje wyłącznie na północy Skyrim, gdzie w morzu pływają nawet bezbrzeżne lodowce, natomiast w pozostałej części regionu przymrozki występują tylko nocami – choć i to przytrafia się od święta.

Rzeczywiście, spozierając na oliwkowozielone rozłogi, na których wegetowały kwiaty we wszystkich kolorach tęczy, ku nieboskłonie pięły się dorodne, dzikie jabłonie, z gruntu wystawały karłowate karczce, zaś zza nich wypadał płochliwy zając czy inny ognistorudy lis, dochodziło się do wniosku, że matka ziemia oddychała tu zielonymi płucami, chłonąc czystą, seraficzną woń roztaczaną przez jej szatę roślinną, a nadstawiając ku tarczy słonecznej rumiane policzki, czyli wyspy spaśowiąłych hiacyntów i pokraśniałych różaneczników, przytulała z miłością do matczynej piersi swe dziecięta: niziusieńkie, moregówate kuropatwy, niewysokie, cętkowane głuszce, większe od nich sarniaki z przezabawnie sterzczącymi parostkami oraz najpokazniejsze łosie o imponujących rosochach, które wycierały scypuł o pniaki, by po obowiązkowym czemchaniu ochłodzić się w chlupoczącej, chłodnej wodzie. Morten, delektując się okoliczną fauną i florą, poinformował orka, że przed nimi znajduje się Biała Rzeka, która wypływa z nieliczego jeziora Ilinalta, a następnie kieruje się ku północnemu wschodowi, aż do Wichrowego Tronu, więc idąc wzdłuż jej brzegów, można by dojść do progów samego Pałacu Królów. Orsimer już miał postawić pytanie, czymże jest ten Pałac Królów – wyjątkowym zabytkiem architektury nordyckiej, siedzibą Ulfrika, a może rozwalinami na kraju Skyrim – jednak wpierw przemówił Ralof, poruszając się dotychczas na czele zastępu:

– Wasza Miłość, panowie, przycupnijcie tutaj. – Palcem wskazał słuszną karpę, bez dwóch zdań znamionującą bliskość tartaku. – Jesteśmy już nieopodal Rzecznej Puszczy. W tym momencie udam się w pojedynkę do wsi, dobędę z siostrzanej garderoby powszednie okrycie dla Jego Miłości i wrócę za trzy litanie do Talosa. Wasza Miłość nie powinien swobodnie wkroczyć między ludzi w szatach właściwych jarlowi.

– Zgoda – rzekł Ulfrik Gromowładny, siadając wśród korzeni. – Uważaj jednak, byś nie wyciągnął z szafy damskich fatałaszków, boś i do tego zdolny.

– Bez obaw – odpowiedział jarlowi psotnik. – Pod tym względem jestem solidny jak podwoje Sovngardu. – Lnianowłósy mrugnął porozumiewawczo okiem do orka.

– Tego właśnie się obawiam – wycedził wódz, przyglądając się swemu odzieniu, które okrył pył, i wyobrażając sobie szyderstwa poddanych, gdyby zasiadł na tronie w sukni z żorzety.

– Czy mieszkańcy Rzecznej Puszczy nie rozpoznają jarla po twarzy? – wtrącił się do dyskusji Golzagor, rozpatrzywszy ideę gromowładnych.

– Nie, dopóki jesteśmy poza Wschodnią Marchią – dał esencjonalną odpowiedź Morten.

– Lwia część Nordów nigdy nie widziała Jego Miłości – wetknął swoje trzy grosze frant. – Poza tym we wsi zagościmy tylko chwilę, by się posilić i zrobić zapasy. Później przeniesiemy się pod Białą Grań, tam najmiemy stangreta i wišta do Wichrowego Tronu! Im dalej od Cesarskich i smoków, tym lepiej – wyjaśnił.

Orsimer powątpiewał w sercu w słuszność tego planu, jednakże pewność buntowników sprawiła, że zmitygował się i postanowił więcej nie zabierać głosu, godząc się z przysłowiem „poznać pana po cholewach”.

Tymczasem Ralof oddzielił się od towarzystwa i zgodnie z obietnicą przybył prędko z powrotem, niosąc sakwę, z której wysupłał... Bursztynową szatę zakonną kapłanów Arkaya. Ulfrik, co dziwne, wyraził się z uznaniem o koncepcji dowcipnisa, po czym nałożył zachwycony długą albę, przewiązał się w talii lnianym sznurem, ubrał na pierś pektorał z ośmioramiennym symbolem bóstwa, zaś na głowę naciągnął przepaścisty kaptur, w którym utonęły jego rysy. Ork zmuszony był przyklasnąć zbytnikowi, bowiem obecnie jarl nie odróżniał się w żaden sposób od zwykłych duchownych; pielgrzymowali oni często traktami, wstępując do przydrożnych miasteczek, by zregenerować siły. Tak wystrojony głównodowodzący ruszył przed siebie z podniesionym czołem, natomiast figlarz dodał jeszcze, że jego siostra zapraszała wszystkich przybyłych gości w swe skromne progi.

Kilka zakrętów drożyny dalej zobaczyli mur cyklopowy okalający osadę, a za nim pokryte strzechami drewniane chałupy na kamiennych fundamentach. Rzeczna Puszcza przedstawiała się jako drobna wieś, w której życie płynęło powoli, rytm tuziemców wyznaczało monotonne terkotanie gatra, zaś kokoszki, nie kłopotane przez nikogo, wałęsały się środkiem miejscowości i wydziobywały co z gruntu. Zabudowania w siole ustawione były przy dwóch drogach, większej i mniejszej, nie licząc położonego na

wyspie zakładu, który wytwarzał tarcicę z okrągłaków pochodzących z ościennych lasów. Do ostrowia szło się przez wąską kładkę ponad rzeką, mijając wcześniej kuźnię z rozpalonym do czerwoności piecem. Hurkoczący trak napędzało koło podsiębierne; jego łopatki wznosiły się i opadały, rozbryzgując naokół wodę, a obok niego krzątał się tęgi wążacz, nadzorując przerób drzewa. W pobliżu tartaku pewien złany potem Bosmer, czyli leśny elf, w cieniu mamucich bali rąbał siekierą mniejsze bierwiona, aż sypały się wióry, zaś odnotowawszy machającego doń Ralofa, gwizdnął na pasibrzucha, który natychmiast szedł do przybyszów, witając się z nimi serdecznie.

– Bądź pozdrowiony, szwagrze Hodzie! – Blondyn gagatek uściśnął jego krzepką dłoń. – Nie wypatrzyłem cię, kiedy przechodziłem tędy do Gerdur kilkanaście minut temu.

– Ano, mój druhu... Musi wecowałem brzytwę na osełce, co nie? – przemówił Hod gwarą brzmiącą dla orka komicznie. – Baba juści mnie sztorcuje, cobym krzaki pod nosem ogolił. Tak się rozplenili! Ale bodaj w mordę ciepło – zaznaczył. – Widzę, żeś nie przylazł sam.

– Tak. Pozwól jednak, że przedstawię przyjaciół w twoim domu. Siostra zaprosiła wszystkich na poczęstunek – przerwał mu Ralof, nie chcąc wymawiać imienia Ulfrika pod gołym niebem, gdzie ktoś niepowołany mógłby usłyszeć rozmowę.

– Ech... Ja przez tę babę pójde z torbami, co nie? Rządzi się jak szara gęś po niebie – wzdychał puciołowaty mężczyzna. – Strawa dla czterech chłopca za Bóg zapłać. Toż to hojność – powiedział, a następnie zaśmiał się, pokazując w ten sposób, że mówił to niepoważnie.

– U skąpego zawsze po obiedzie! – Filut trzymał się za boki.

– Przeto dostaniecie podwieczorek. Chodźta. – Wąsał kiwnął ręką, by poszli za nim. – Zobaczym, co moja kobita upitrası.

Murowaniec Hoda był taki jak on sam – największy we wsi; na dodatek sąsiadował z szynkiem, do którego pan domu przypuszczalnie nagminnie wstępował na kufel piwa, dzięki czemu urósł mu wydatny brzuch. Niemała zagroda zdawała się chędogą: chatę przykrywała ładna, omłócona słoma, w obejściu pasł się wół, na jego łbie jeżyły się dwa ostre rogi, dumne kwoki wysiadywały dorodne jajka, a płot wokół gospodarstwa wykonany został fachowo, najpewniej przez samego drwała. Już w progu przychodniów powitała barczysta Nordka, nosząca u boku sztylet, a przyjmując jowialnie gości, dała się poznać jako serdeczna połowica Hoda oraz dobrotliwa rodzona siostra Ralofa, do którego zresztą była uderzająco podobna. Gromowładni i ork weszli do schludnego budynku, by wkrótce ściągnąć nielekkie

przecież szłomy, odstawić w kącie miecze, pawężę, a później zasiąść do stołu, dziękując amfitrionom za gościnę.

Podczas jedzenia koziej pieczeni debatowali nad minionymi wypadkami, opowiadając nieprawdopodobną historię o smoku, który sfrunął z obłoków, a obracając w ruinę Helgen, dał im nieoczekiwaną sposobność ucieczki, kiedy już rozstawali się w myślach z tym światem. Dotąd sądzono, że stwory takie pojawiają się tylko w starych klechdach i bajaniach dziadków, mówiących wnukom dyrdymały na dobranoc, a tu siurpryz! Legendy przedzierzgnęły się w prawdę. Dobrze się stało, że huncwot przyprowadził świadków tego wydarzenia, bowiem w przeciwnym razie rodzina nie dałaby chyba wiary skłonnemu do żartów utrapieńcowi.

W dalszej kolejności, gdy wreszcie wyszło szydło z worka i gospodarze poznali tożsamość tajemniczego kapłana, nie mogli się nadziwić własnemu szczęściu, niezdarnie uderzając przez jarłem czołami i prześcigając się w tym, kto jako pierwszy poda mu tacę, uprzątnie talerze itd. Ulfrik, popijając wino, starał się zapanować nad usłużnością krewnych złotowłosego, przekonując ich, żeby traktowali go jak każdego nieznajomego, ponieważ zatrzymał się u nich incognito, jednak Hod, nie znając tego słowa, wygrzebał z kufra karminowy roztwór leczniczy, powiadając, że za tak światłego przywódcę oddałby nawet własne życie, byleby ten nie umierał z powodu tej obco brzmiącej choroby. Życzliwość rodziny była tak poruszająca, że jakaś błaha niewiedza i wynikające z niej omyłki wywoływały tylko uciechę, zaś sowizdrzał, wypiwszy kilka kielichów, począł imitować dialekt wąsala z nie najgorszym skutkiem, w wyniku czego spotkanie przy przekąskach przerodziło się niedługo w biesiadę pośród gwaru śmichów-chichów.

Wiktuały tymczasem zniknęły z ławy i Ulfrik, zachowując umiar, zadysponował, by z wolna wyruszyli dalej, chociaż zaznaczał po wielokroć, że gdyby nie wojna i fakt, że jest poszukiwany, w tak ujmującej asyście spędziłby z lubością cały dzionek.

– Przykro, że wybywacie. – Gerdur posmutniała. – Ale jak mus, to mus. Jeśli prawdą jest, że na południe od Rzeczej Puszczy bestia spustoszyła cały gród, strażnicy z Białej Grani będą musieli pójść nam w sukurs – zauważyła, przemyśliwając przygodę zgromadzonych. – W razie ataku gadzina zniszczyłaby naszą lichą osadę. Ralofie, powiadomisz Balgruufa, skoro i tak znajdziesz się rzut beretem od miasta?

– Dozgonna żoneczko – zareagował brzuchacz, który gołnął sobie odrobinę więcej niż inni.
– Jakże można wysyłać gromowładnego w naród?! Szubrawy szpicel go zakapuje! Apiać od nowa trafi pod topór! U nas w wiosce ludzie porządne, ale te miastowe...

– Och, gęba na kłódkę, moczymordo, siedz jak mumia! – przerwała mu. – Czemuż Mara pokarała mnie takim chłopem?! – wzdychała, lecz zaraz dodała: – Ten bachusowy sługa ma jednak trochę racji. Jeżeli wy nie wejdziecie w mury miejskie, bo to zbyt niebezpieczne, to może zrobi to nasz przyjaciel z Orsinium?

Spojrzenia przebywających pod strzechą spoczęły na małomównym orku, który dojadł ostatnie kęsy mięsiwa, a słysząc, że o nim mowa, zmarł w bezruchu z widelcem skierowanym ku rozwartej szeroko szczęce. Po chwili zreflektował się, w jak tumanowatej pozie znieruchomiał, toteż odłożył sztuciec, wytarł usta i szpiczasto zakończone kły, jednakże nadal nie przemawiał, rozważając w myślach tę prośbę. Zgodzić się czy też nie?

Rozpamiętywał prędko zajścia po przybyciu do Skyrim, napływające do jego głowy niczym ruchome obrazy: wpierw lnianowłosa podszeptał Orsimerowi, gdy wrzucono orka szorstko na furę, jakie ruchy należy wykonać, aby stanąć na równe nogi; później, podczas jazdy, rozweselał więźniów krotochwilami; w Helgen, po napaści smoka, nie zostawił go na placu boju, lecz zawłókł omdlałego do donżonu; następnie przystał na to, by Golzagor oblekł się w pancerz jego zmarłego kolegi; ad extremum pokonał z gracją przeciwniczkę i, jakby tego było mało, sprosił uciekinierów na jadło i popitkę. Ork wykoncypował, że winny jest odwzajemnić się gromowładnym za wszystkie dobrodziejstwa, gdyż odmowa w takiej sytuacji przypominałaby danie rekuzy absztyfikantowi, który zawczasu nabył obrączki i zaplanował weselisko – tak nie wypada czynić, choćby epuzer był brzydki jak siedem grzechów głównych.

Przybyły z Cyrodiil, po zanalizowaniu dylematu, przychylił się do życzenia Gerdur, podkreślając wszelako, że optuje za tym, aby przedtem zabawić jeszcze trochę w Rzeczej Puszczy, przynajmniej godzinkę lub dwie. Jarl odrzekł, że wobec tego oni pójdą swoją drogą, gdyż nie ma sumienia, by w nieskończoność wycierać cudze kąty, na co, wiadomo, domownicy zareagowali dezaprobatą, acz Ulfrik nie dał się ubłagać, a na znak stanowczości powstał i założył na czerep kaptur. Hod, będący pod dobrą datą, uściśnął w pól Ralofa, nieomal wykręcając mu rękę. Natenczas żołnierz przypomniał sobie o ranie swego hetmana, którą mieli dokładniej przewiązać po dotarciu do cywilizacji, lecz tamten, kręcąc nosem, zaręczał, że uraz już się zabliznił, a ponadto nie jest dzieckiem, tylko mężczyzną w sile wieku

i nie trzeba zmieniać mu pieluch, co ponownie pociągnęło za sobą admiracje oraz głośne ahy i ohy. Ork namyślał się, na ile ta kwestia obliczona była na poklask i czy Ulfrik mówił szczerze, aczkolwiek nim doszedł do jednoznacznej konkluzji, sam bohater zbliżył się do niego, a wyciągnąwszy dłoń, złożył Orsimerowi płynące z głębi serca podziękowania za jego obecność podczas marszu z Helgen do Rzeczej Puszczy, jak też zachęcał go do odwiedzenia Wichrowego Tronu, na co Golzagor odrzekł kurtuazyjnie, że nawiedzi ich, jeśli będzie znajdował się akurat w pobliżu.

Później nastąpiły przedłużające się pożegnania, uprzejme życzenia sukcesów w batalii z Cesarstwem, błogosławieństwa, jak również padło wiele innych podniosłych słów, do których opisanie nie wystarczyłoby wszystkich ksiąg świata.

Goście opuścili ciepłe siedlisko, kierując się niespiesznie na północ, zaś ork, stanąwszy na rozstaju dróg w wiosce, myślał, co ze sobą począć. Rzucił okiem na znudzonych wieśniaków, którzy nie troskali się przeciwnościami losu, patrząc, jak rośnie trawa; na gospodę z owalnym szyldem „Pod Śpiącym Gigantem”, do której wiodły schody z dwóch stron; na dziewczynkę uczącą aportować kudłatego wilczarza; na wartki nurt, odbijający refleksy późnopopołudniowego nieboskłonu, niosący gałęzie pousychanych drzew. Konary płynęły tak wleczone siłą prościutkiej jak strzała Białej Rzeki, wykazując podobieństwo do nieodległych epizodów bez precedensu; co przemieścił się jeden przed oczami Golzagora, zaraz nadciągał kolejny, jeszcze dziwniejszy od poprzednika. Skąd przybywały? Dokąd zmierzały? Dlaczego wyschły na wiór i powpadały do wody?

Odnajdywał wiele analogii pomiędzy tą błahostką a swoją doczesną wędrówką, która za sprawą pewnego Khajiita przybrała nieoczekiwany obrót. Ścieżki życia orka w Prowincji Cesarskiej, mimo nieznacznych wątpliwości przydarzających się każdemu, były dotąd równe, gładkie, pozbawione meandrów i odnóg, a czas mijał ospale. Jeszcze przeprawa przez góry rozwlekała się, jeszcze pobyt w odwachu trwał w nieskończoność, a później... Powódź zdarzeń, lawina incydentów, grad osobliwości. Ork zorientował się, że od pewnego czasu nieprzerwanie dokądś zmierzał; coś na każdym kroku pchało go naprzód, podobnie jak fragmenty drzewa idące z prądem. Przeżyciami z ostatnich kilku godzin można byłoby obdzielić parę życiorysów, a przecież nawet nie zmierzchało! Wszystko stało się jakies

zintensyfikowane, nasilone, zwielokrotnione. Dlaczego doczesność nabrała nagle rozpędu? Dlaczego świat, wyrażając się bardziej poetycko, począł tańczyć w ogniu?

Wyrozumował, że żaden z niego filozof, ponieważ wiedział zaledwie tyle, że to chybkie tempo przemęczało go; czuł się jak z krzyża zdjęty, a winien nie posiadać się z radości, że głowa wciąż tkwi na jego karku. Zamarzył o sjeście oraz wzięciu przykładu z chłopów i próżniaczeniu się chociaż ociupinkę, bodaj troszeczkę!

A smok? Smok poczeka. Kaduk wie, dokąd poszybował.

Orsimer powłóczył nogami do miecznika i z ulgą pozbył się ekwipunku, zatrzymawszy tylko ciepłe buciory i rękawice, zaś resztę wymienił na prostą, rzemienną osłonę torsu, bo trudno nazwać ją pancierzem. Na więcej nie mógł sobie, niestety, pozwolić. W kieszeni pozostało mu nie więcej niż dwadzieścia sztuk złota, a połowę z tej sumy wydał zaraz na pokój w gospodzie. W dalszej kolejności zarygłował drzwi kwatery i padł sterany na skrzypiące wyro, natomiast świat poniekąd kręcił się wolniej.